REKONSTRUKCJA

Nikt przez lata nie interesował się tą najmniejszą cząstką Archipelagu, uczepioną na końcu niewielkiego łańcucha wysp, ostrożnie, jakby niechętnie wyglądających z głębin zimnego oceanu, daleko na zachód od krańca kontynentu. Bardziej płowo-szare niż zielone, szarość zawdzięczały pozbawionym bujnej roślinności niskim kamienistym wzgórzom, barwę płową nadawała im nieurodzajna gleba i piasek szerokich nabrzeżny. W nielicznych rzadkich zagajnikach rosły buki, dęby, klony i karłowate sosny, gdzieniegdzie błyskało małe jezioro, leniwie płynął strumień. Na wyspie było trochę małych zwierząt, wędrowne ptaki miały tu swe lęgowiska. Klimat był mało zachęcający, lata niezbyt ciepłe, zimy raczej ostre. Wysepka na końcu Archipelagu miała oczywiście swą nazwę, ale nikt o niej mówił inaczej niż: *Ostatnia.* Taka jak inne, ani bardziej, ani mniej przyjazna, jednak z powodu niewielkich rozmiarów i skalistego wybrzeża nigdy jej nie zasiedlono. Oddalona była od pozostałych niespokojnym, nie dość bezpiecznym dla codziennej żeglugi przesmykiem, więc pomysł na założenie tu niewielkiego meteorologicznego obserwatorium albo stanowiska kontroli gniazdowania albatrosów wędrownych nie zdobył dostatecznego wsparcia. Rozważano budowę lądowiska dla lekkich samolotów, ale koszty uruchomienia i – przede wszystkim – utrzymania wydały się zbyt wysokie.

Gdy zatem w Królewskim Towarzystwie Naukowym zgłoszono pomysł zorganizowania na dziewiczych dotąd, z badawczego punktu widzenia, wyspach Archipelagu niewielkiego sondażu, naukowego rekonesansu w ramach popieranego i – co ważne – aktywnie ostatnio finansowanego „Projektu Badania Dawnych Kultur Południowego Pacyfiku", *Ostatniej* nawet nie ujęto w planach ekspedycji. Niezamieszkała – zapewne od zawsze – bez jakichkolwiek śladów obecności człowieka i przejawów cywilizacji, nie mogła być dla sir Geoffreya Gordona i jego ludzi interesująca. I zapewne pozostałaby na wieki na uboczu archeologicznych poszukiwań i dociekań, gdyby ekipa wysłana przez Królewskie Towarzystwo natrafiła na wyspach na jakiekolwiek interesujące fakty. Nie natrafiła. Poza tymi już wcześniej dobrze rozpoznanymi. Ślady materialne znane dobrze z innych wysp tego fragmentu oceanu. Tradycyjne, aż nadto typowe, aż nadto powtarzalne tropy. Niewiele – trzeba przyznać – jak na dość kosztowną i nagłośnioną medialnie wyprawę na drugą półkulę. Żadnych rewelacji, co najwyżej materiał na kilkuminutowe sprawozdawcze wystąpienie na posiedzeniu Towarzystwa. „Przeanalizowano… potwierdzono…" W tej sytuacji zgłosiłem postulat, aby ostatnie dni pobytu na Archipelagu poświęcić na krótkie odwiedziny na wyspach dotąd niezbadanych, zaczynając od *Ostatniej*, w tej chwili lokalizacyjnie nam najbliższej. Zwiad o charakterze raczej turystycznym niż naukowym, nie miałem złudzeń. Bez przemieszczania całej ekipy i transportowania ciężkiego sprzętu. Ot, parodniowy rajd lekką motorową łodzią, trzy-cztery osoby, podręczny ekwipunek. Może uda się

poczynić obiecujące obserwacje ornitologiczne? Może zrobię parę ciekawych fotek? Które sprzedam potem do „NG”?

Do ekipy profesora Gordona dołączyłem w ostatniej chwili, gdy okazało się, że wcześniej zakontraktowany fotograf nie przeszedł odpornościowych testów. Ja ze zdrowiem nie mam najmniejszych kłopotów, włóczę się z aparatami i kamerą po świecie, od tropików po lodowate morza północne i nie zdarzyło się jeszcze, bym złapał jakieś choróbsko. Przez te lata nie udało mi się nawet zwichnąć ręki, a zaglądam we wszystkie dziury i wdrapuję się na każdy większy pagórek. Mój wniosek przeszedł jednogłośnie, przy obecności ledwie połowy członków wyprawy; reszta znudzonego towarzystwa uczestniczyła w obchodach lokalnego święta. Sir Geoffrey nie oponował, zajęty porządkowaniem lichego dorobku ekspedycji i pisaniem komunikatu.

Do brzegów wyspy dotarliśmy wczesnym popołudniem. Pogoda sprzyjała, zachodni szkwał zanadto nam nie dokuczył. Wylądowaliśmy z niejakimi kłopotami – wyspa pozbawiona była od strony północnej naturalnych portów – i po zabezpieczeniu łodzi rozbiliśmy namioty pod osłoną kępy rozłożystych pinii. Zamierzaliśmy spędzić tu noc i następnego dnia ruszyć w dalszą podróż. Po lekkim posiłku Service i Briant udali się na rozpoznanie wybrzeża, ja zaś z Baxterem ruszyłem w kierunku wzgórz brzegiem niewielkiego strumienia. Popołudniowe słońce wyjrzało zza chmur, zrobiło się cieplej. Pomarudziłem trochę w jagodowym poletku, zawiązałem kurtkę wokół pasa i podpierając się ułamanym konarem jak laską zacząłem wdrapywać się po osuwistym zboczu. Miałem towarzysza – wesoły rudy ptaszek skakał między kamieniami i kępami traw i zdawał się prowadzić mnie w górę. Pisałem już, że wchodzę na każdą górę i zerkam w każdą rozpadlinę? Taką mam niespokojną naturę i – jak prorokuje moja matka – nie umrę we własnym łóżku. Pytanie tylko: jak to się stanie, skoro złe zawsze obchodzi mnie z daleka. Ta szczelina była wąska i – jak się wkrótce okazało – dość długa. Po usunięciu skalnych odłamków oraz paru zmurszałych pni udało mi się jakoś przecisnąć i nie uszkodzić cennej Leiki i torby z teleobiektywem. Przed moimi oczami ukazała się niezwykle obszerna, by nie rzec: ogromna grota, wyżłobiona przez naturę – w tej chwili nie widziałem powodu, by sądzić inaczej – w miękkim czarnym wapieniu. Wzgórze sprawiało wrażenie dosłownie wydrążonego w środku. Było dość jasno, przez niewielki otwór w sklepieniu, rodzaj komina, sączyło się światło. Powietrze było rześkie, nie czułem zapachu stęchlizny. Chwilę później dołączył do mnie Baxter. Po godzinie Service razem z Briantem. Następnego dnia na wyspę dotarli – wezwani w trybie pilnym – pozostali członkowie wyprawy Królewskiego Towarzystwa Naukowego…

Co było dalej, czytajcie w Czasie kultury 6/2013 „Pod wrażeniem”.